

# Zgłaszam nieprzygotowanie do życia

ALEKSANDRA WARECKA

Magazyn Pismo, 5.03.2019

Kończą osiemnaście lat i opuszczają dom dziecka. Państwo daje im na do widzenia pięćset złotych miesięcznie i mówi: „Za to teraz życie”.

Półmrok. Kinga siedzi na piętrowym łóżku i co chwilę pociera chore oczy. Koński ogon, okulary, beżowa koszulka na ramiączkach, dresowe, szare spodnie, bose stopy. Ma dziewiętnaście lat i pięciomiesięczną córeczkę, Maję.

Dwa lata temu, w czerwcu, po ponad roku pobytu opuściła dom dziecka. Trafiła tam z trzema braćmi i siostrą z powodu „zaniedbań opiekuńczo-wychowawczych i braku bezpieczeństwa dzieci”. Pracownica pomocy:

– „Zaniedbania opiekuńczo-wychowawcze” oznaczały nieustanne komunikowanie się wrzaskami, a „brak bezpieczeństwa” – siostrę Kingi śpiącą na parapecie przy oknie bez klamek.

– Zasady, pilnowanie, nakazy. Zbiorowisko wszystkiego, czego nie cierpię – mówi powoli, szukając słów. – Budynek pełen obcych ludzi. Jak były pretensje, że za późno wracam, mówiłam: „Mogliście mnie nie zabierać”. Jeśli nie korzystałam z sali komputerowej, to z jakiej racji mam ją sprzątać? No, logicznie rzecz ujmując. Zjadłam, umyłam talerz i do widzenia.

Mała śpi na dolnym łóżku. Górne należy do brata Kingi, który jest w Młodzieżowym Ośrodku Wychowawczym (MOW). – To taki przedsiódek poprawczaka – tłumaczy Kinga.

MOW-y to przede wszystkim jednak ośrodki resocjalizacyjne, do których trafia młodzież zagrożona wykluczeniem społecznym. W praktyce może to oznaczać przedłużające się wagarzy albo eksperymentowanie z używkami. Brat Kingi znalazł się tam za pobicie. Przyjeżdża w weekendy i święta. W domu wszystkich jest siedmioro: oprócz Kingi i Majki – mama, trzech bracia i siostra. Mieszkają na pięćdziesięciu ośmiu metrach. Zadłużonych (matka nie płaciła czynszu) na pięćdziesiąt tysięcy złotych.

Z powodu zasłoniętych okien wszystko wydaje się bure: pościel, suszące się ubranka, ciuchy wystające z plastikowych worków, ręczniki leżące na biurku. Tylko dziecięca mata w literki tworzy na podłodze kolorową plamę.

– Stwierdziłam, że nie będę ich słuchać, bo ich logika jest powalająca. Wykłócałam się. O to, jak pracują. Nie pasowało mi, że jakiś dzieciak tłucze mi brata, a wychowawca nie potrafi wyciągnąć konsekwencji. Do tej pracy trzeba mieć ciężki tyłek, ogólnie rzecz ujmując. Był taki chłopak, co kłął, rzucał czymś. Kiedyś obudziły mnie wrzaski. Wychowawczynie chodziła po korytarzu i darła się jak opętana. Że ma dosyć, że sobie nie pozwoli, że pójdzie do sądu. Jak wyszła, tak nie wróciła.

Miałam opiekunkę usamodzielnienia. Najlepsza wychowawczynie z domu dziecka. Szła po zasadach. Rozumiała, że nastolatków denerwuje, że nie mogą oglądać filmów po dwudziestej drugiej. Bo jest regulamin. A jednocześnie mamy czuć się jak w domu – opowiada Kinga.

Opiekun usamodzielnienia to osoba, która ma być doradcą i wsparciem dla wychowanka szykującego się do dorosłego życia. Pomaga w stworzeniu indywidualnego programu usamodzielnienia, w którym nastolatek zapisuje swoje plany na przyszłość.

Według swojego programu Kinga miała skończyć gimnazjum, znaleźć pracę. Gimnazjum nie skończyła, programu nie zrealizowała.

Mała zaczyna płakać. – Chodź, popatrzysz sobie na panią.

Maja pokazuje w szerokim uśmiechu dolne jedyki.

Kiedy dwa lata temu Kinga wyszła z domu dziecka, wróciła po dwóch dniach.

– Potraktowali mnie jak największe zło – znów pociera zmrużone oczy. – Zrobili zebranie i spytali mamę, czy mnie zabierze. Mama powiedziała: „Pakuj rzeczy, idziesz do domu”. Tylko nie wiedziała, że w ten sposób jestem skreślona z mieszkania chronionego. Urlopowali mnie trzy miesiące przed osiemnastymi urodzinami.

Urlopowanie to pobyt dziecka u rodziców za zgodą sądu, najczęściej podczas weekendów, świąt i wakacji.

Joanna Brudny-Morawska z Warszawskiego Centrum Pomocy Rodzinie (WCPR) prostuje: – Jeśli wychowanka sporządziła indywidualny program usamodzielnienia, nie straciła uprawnień. Placówka nie może samowolnie skreślić wychowanka z listy przed ukończeniem przez niego osiemnastego roku życia. Nie ma takiej możliwości. Nie ma też możliwości, żeby placówka wnioskuje o urlopowanie. Może to zrobić tylko rodzic, a sąd musi wyrazić na nie zgodę.

Pod koniec października 2017 roku Kinga zaszła w ciążę. Zorientowała się, gdy dziecko zaczęło kopać. Jej mama dopiero wtedy, kiedy dziewczyna była w siódmym miesiącu. – Jestem cięższa, pracowałam na noc, więc nikt nie zauważył. Do siódmego miesiąca sprzątałam pociągi.

– Idę zrobić mleko. Niunia, przecież jestem. Nigdzie nie uciekam.

Nie chce mieszkać z matką: – Z mamą zawsze byłam konfliktowa.

Mają oddzielne budżety. Kinga żyje z tysiąca ośmiuset złotych, z czego tysiąc to kosiniakowe – zasiłek, który przysługuje mamom niemającym prawa do zasiłku macierzyńskiego. Skończy się jej w lipcu. Oprócz tego dostaje 500 plus, 193 złote z tytułu samotnego rodzicielstwa i dziewięćdziesiąt pięć złotych rodzinnego.

Od września planuje iść do pracy, a małą oddać do żłobka. Ośrodek pomocy społecznej pomaga jej załatwić lokal socjalny. Z ojcem dziecka ma sporadyczny kontakt.

– Teraz to bym poszła do szkoły. Kilka godzin odpoczynku. Naprawdę, bez obrazy, Majka!

Odprowadza mnie do drzwi. Przechodzimy przez pokój braci. Przy jednej ścianie łóżko piętrowe, przy drugiej – jednoosobowe. Rozgrzebana pościel. Na środku pokoju dziecięca wanienska. Reklamówki z ubraniami, rozrzucone śrubki.

Schodzę z trzeciego piętra starej, ale odnowionej kamienicy z zabetonowanym, pozbawionym drzew dziedzińcem. W pobliżu Żabka, łuszczące się budynki sąsiadują z nowoczesnymi biurami. Szewc obok pracowni florystycznej. Bar sushi naprzeciwko zakładu pogrzebowego.

---

Kinga jest jednym z 74 840 dzieci, które w 2017 roku wychowywały się w pieczy zastępczej. Niepełnoletni trafiają tam, kiedy rodzina jest w kryzysie (bo tylko cztery procent z tych prawie siedemdziesięciu pięciu tysięcy to sieroty biologiczne) – z powodu alkoholu, przemocy, zaniedbań – i nie radzi sobie z opieką nad dzieckiem. Wtedy interweniuje państwo i umieszcza małoletniego w pieczy: rodzinnej (rodzinne domy dziecka, rodziny zastępcze) lub instytucjonalnej (placówki opiekuńczo-wychowawcze). Bo dziś domy dziecka oficjalnie nie istnieją. Pozostały tylko w języku potocznym.

Dziecko trafia więc do placówki i zaczyna się praca. Pracownicy socjalni z ośrodków pomocy społecznej pracują z rodziną biologiczną, by dziecko do niej wróciło. Jeśli to niemożliwe – szuka się rodziny zastępczej lub adopcyjnej. Kiedy to się nie udaje, dziecko przygotowywane jest do samodzielności.

Rok przed osiągnięciem pełnoletniości wychowanek wybiera opiekuna usamodzielnienia. To może być wychowawca, ulubiony wujek, pracownik socjalny – osoba, na którą zgodzi się dyrektor Powiatowego Centrum Pomocy Rodzinie (PCPR) lub Ośrodka Pomocy Społecznej. Indywidualny program usamodzielnienia – stworzony przez nastolatka i jego opiekuna – trafia do PCPR, a centrum nadzoruje i wspomaga dalej wychowanek w usamodzielnieniu. Od realizacji programu uzależniona jest pomoc finansowa.

Gdyby Kinga uczyła się po opuszczeniu placówki, dostawałaby miesięcznie 526 złotych. Gdyby realizowała swój program, otrzymałaby również jednorazowo pieniądze na tzw. zagospodarowanie (1577 złotych) oraz na usamodzielnienie (1735 złotych na zakup sprzętu do mieszkania lub kursy zawodowe). Jeśli spędziłaby w domu dziecka powyżej trzech lat, dostałaby na usamodzielnienie 6939 złotych. Za pieniądze na zagospodarowanie młody człowiek, który dotąd był pod opieką systemu (zapewniającego mu dach nad głową, wyżywienie, pomoc lekarską itp.), ma znaleźć mieszkanie, wyposażyć je, zadbać o siebie. I utrzymać się za niewiele ponad pięćset złotych miesięcznie.

Jeśli wychowanek kontynuuje naukę, może zostać w pieczy zastępczej do dwudziestego piątego roku życia. Pod warunkiem, że dyrektor lub rodzice zastępczy wyrażą na to zgodę.

– Czasem mówią: „Nie, ja nie będę nic spisywać. Żadnego programu. Nie chcę żadnej pomocy. Chcę wyjść i o wszystkim zapomnieć”. – Agnieszka Oracz-Zawistowska, kierownik Działu do spraw Pieczy Zastępczej w Warszawskim Centrum Pomocy Rodzinie (WCPR) myśli, że to są ci, którzy mają nieprzerobione kwestie związane z pobytem w pieczy i chcą się odciąć od przeszłości. Nie chcą nawet pomocy finansowej.

– Mamy dla nich mnóstwo ofert: na przykład płatny staż w PKO BP, program, w ramach którego mogli skorzystać ze wsparcia psychologicznego, prawnego... – wymienia Joanna Bury-Morawska, zajmująca się pieczą zastępczą i usamodzielnianymi wychowanekami w WCPR. – Mają z czego korzystać. Gdyby tylko chcieli, to my byłibyśmy szczęśliwie.

Oracz-Zawistowska dodaje: – Pracujemy nad ich motywacją. Mówimy, jak udział w tych programach wpłynie na ich przyszłość.

---

W tym miesiącu śniadania robi Oliwia, a kolacje Patryk. Korytarz sprząta Marcin, a jadalnię Klaudia. W ciągu tygodnia obiady gotuje kucharka. W weekendy dzieci z wychowawcą.

Tu widać, że słowo „bidul” odeszło w niepamięć. Mieszkanie ma dwieście pięćdziesiąt metrów kwadratowych. Jasno i nowocześnie. Ogromny salon połączony jest z kuchnią, w kolorze écru i gorzkiej czekolady, korytarzem i salą telewizyjną. Na stole rozłożone puzzle. Na ścianie tablica ze zdjęciami z konkursu fotograficznego. Regał z książkami, trzy biurka z komputerami. Pokoje dwuosobowe. Kolory ścian w pokojach wybrały dzieci. Mieszkanie mieści się na piątym piętrze w nowym, zwykłym bloku na warszawskiej Pradze. Mieszka tu czternaścioro dzieci, w wieku od ośmiu do osiemnastu lat.

Na budynku nie ma tabliczki: „placówka opiekuńczo-wychowawcza”. To ważne. Bo kiedyś, gdy była, dzieci się wstydzili. Potrafiły, wracając ze szkoły z kolegami, minąć blok i pójść dalej.

Placówki się zmieniają. Molochy pustoszeją. Znikają duże instytucje z administracją, księgowością, kierowcami. Jeszcze do 2020 roku mogą istnieć domy, w których jest trzydzieścioro dzieci. Od 2021 roku nie będzie mogło być więcej niż czternaścioro. Od dwudziestu lat trwa więc wielka przeprowadzka. – Mam wrażenie, że każdego roku mamy nowelizację, a czasem dwie w ciągu roku – śmieje się Joanna Brudny-Morawska.

– Ale te zmiany idą w dobrym kierunku, w stronę zindywidualizowania opieki i wsparcia rodziców. Ustawa z 2011 roku wprowadziła zawód asystenta rodziny, którego praca ma zapobiegać umieszczaniu dzieci w placówkach, i koordynatora rodzinnej pieczy zastępczej, który wspiera rodziny zastępcze i usamodzielnianych wychowanków z tych rodzin. To diametralnie zmieniło jakość opieki nad dziećmi. Wcześniej pracownicy WCPR zajmowali się tylko wydawaniem decyzji przyznających pomoc rodzinie zastępczej. Na jednego pracownika przypadało sto rodzin. Teraz koordynator pracuje z piętnastoma – przekonuje Agnieszka Oracz-Zawistowska.

Ubywa wychowanków w placówkach. Przybywa placówek. W 2017 roku było ich 1106, co oznacza zwiększenie ich liczby o osiem w stosunku do 2016 roku.

W Warszawie powstały trzy zespoły do obsługi placówek opiekuńczo-wychowawczych. W nich urzęduje dyrektor, administracja, księgowa, psychologowie, pedagodzy, logopedzi. Zespoły nadzorują kilka lub kilkanaście filii, w których są tylko wychowawcy, dzieci i koordynator w roli osoby zarządzającej. Powoli filie przekształcają się w małe, odrębne placówki. Ale nadal cała administracja i obsługa pozostaje w zewnętrznych zespołach. W nowych, zbliżonych do domowych warunkach dzieci mają się uczyć samodzielności. Tak jak w placówce na warszawskiej Pradze.

---

Niewysoka blondynka, wielkie oczy, sztuczne rzęsy, długie paznokcie pod kolor kakaowego sweterka. Obcisłe dzinsy z dziurą na kolanie. Czerwoną – bo na zewnątrz dwa stopnie Celsjusza. Wita mnie na korytarzu OPS-u: – To pani?

Julia ma dziewiętnaście lat i dużą wprawę w uciekaniu.

Najpierw uciekała ze szkoły. Potem z pogotowia opiekuńczego. Ze szkoły przy pogotowiu. Pogotowie to pierwszy etap, punkt przesiadkowy systemu. Stąd dziecko jest kierowane do domu dziecka, rodziny zastępczej albo Młodzieżowego Ośrodka Wychowawczego (MOW).

Od trzech miesięcy pracuje w sklepie. Lubi to, szefowa ją docenia. To jej najdłuższy staż pracy.

Nie chciała się spotkać w kawiarni: – Może tak być, że będę płakać.

Rozmawiamy w małym pokoju do indywidualnych rozmów. Głos odbija się od pustych, białych ścian. Dwa fotele, mały, jasny stolik. Ostre górne światło zamieniam na cieplejsze ze stojącej lampy. Na stoliku pudełko chusteczek higienicznych. Przydadzą się za pół godziny.

– W pogotowiu było super, ale mnie imprezy kręciły. Uciekałam codziennie. Wychowawcy byli super. Lubili mnie. Dziewczyny były brzydkie, a ja ładna. Chłopcy mi komplementy mówili. Do pogotowia i do MOW-u poszłam przez szkołę. Dwa lata wagarowałam. Matka nie miała na mnie wpływu. Taty nie obchodziło. Zostawił nas, jak miałam sześć lat. Babcia? Proszę pani, na mnie nikt nie ma wpływu. Ja robię, co będę chciała, i zawsze tak było.

Nie pamięta, ile miała lat, gdy trafiła do pogotowia opiekuńczego. Gdy miała szesnaście, poszła do MOW-u. Po roku pobytu w MOW-ie sąd zdecydował o umieszczeniu Julii w domu dziecka. W ciągu tygodnia była w ośrodku, a na weekendy jeździła do domu dziecka. Dopiero stamtąd – jeśli sąd wyraził zgodę – ojciec zabierał ją do domu.

– W MOW-ie też było super. Mnie wszyscy lubią, bo mam gadane. Rozmawialiśmy o przyszłości. Wszyscy o tym mówili. No, że szkoła, dobre zachowanie, rodzina, wartości. Mieliśmy warsztaty. No nie wiem jakie. Nie pamiętam. Nie powiem tak pani. No ogólnie o tym, jak to życie ma wyglądać.

Program usamodzielnienia? To polega na tym, że się składa pismo, czeka na mieszkanie, chodzi do szkoły i dostaje pięćset złotych, tak? Na pewno coś podpisywałam. To dawno było. Nie pamiętam – dodaje.

Dom dziecka zaproponował Julii babcię jako opiekuna usamodzielnienia: – Wiedzieli, że moja babcia to ogarnięta osoba.

Po wyjściu z MOW-u miała z nią zamieszkać. Uciekła po tygodniu. Do mamy, za którą tęskniła, i drugiej babci. – Gdy wychodziłam z MOW-u, cieszyłam się i bałam. Że nie dam rady. Kocham moją rodzinę. Ale ojciec ma mnie w dupie, matkę mam chorą na schizofrenię, babcia utrzymuje dom. Dziadek od trzech lat umiera i umrzeć nie może. Babcia ciągle krzyczy: „Rachunki, rachunki!”. A ja płaczę po nocach, bo co mam, kurwa, zrobić, jak babcia umrze? Kocham mamę, ale chciałabym mieć swoją rodzinę. A będę ją utrzymywać za moje dwanaście złotych na godzinę?



Aureliusz leżeński buduje raketę. Z telefonu i dwóch długopisów. Na stoliku w kawiarni.

– Gdy te podpory będą za blisko, rakietę nie wystartuje. Jeśli będą za daleko, przewróci się przed startem. Tak samo jest z opiekunem usamodzielnienia, trzeba tak ustawić ten poziom wsparcia, żeby być nie za blisko i nie za daleko – tłumaczy.

Leżeński jest prezesem Fundacji Robinson Crusoe. Szczupły, energiczny, zapracowany. Przez dwa tygodnie nie mogę się z nim umówić. Jego fundacja od szesnastu lat pomaga młodym ludziom wystartować w dorosłość i nie poobijać się za mocno. A Leżeński ich obserwuje i wymyśla nowe strategie wsparcia.

Tłumaczy, dlaczego funkcja opiekuna w Polsce jest fikcyjna i maluje taki obrazek: – Nastolatek z placówki idzie do wychowawcy albo pracownika socjalnego. I prosi: „Niech pan zostanie moim opiekunem”. A tamten mówi: „Dobrze”. Podpisuje mu dokument, prawie go nie widuje. Ma swoje raporty, dokumenty. Myśli: „Tamten jakoś sobie poradzi”. Oczywiście są też tacy, którzy mimo obciążeń starają się wywiązać z roli opiekuna, ale odbywa się to dużym kosztem.

Opiekun usamodzielnienia jest funkcją społeczną. Nie dostaje się za nią wynagrodzenia.

Dyrektor MOPS-u w Łodzi powiedział jakiś czas temu Leżeńskiemu:

– Panie Aureliuszu, siedemdziesiąt procent młodych nie ma opiekuna usamodzielnienia. Szukamy ich.

Dlatego w Łodzi startuje program Senior–Junior. Fundacja Robinson Crusoe rekrutuje starsze osoby, które szkoli na opiekunów. Wybiera tych odpowiedzialnych, stabilnych, kontaktowych. Uczy ich mądrze rozmawiać. Mądrze wspierać. Szanować wybór młodego człowieka, nie forsować siebie. Seniorzy zaś mają superwizję. Muszą się nauczyć, jak nie brać cudzego bagażu na własne plecy.

Młodzi robinsonowie – czyli podopieczni fundacji – wkraczają w dorosłość wehikułami usamodzielnienia. Bez pośpiechu i z asekuracją. Wehikuły to grupy warsztatowe, które spotykają się w jedenastu miastach w Polsce. Młodzi robią ćwiczenia z dorosłości, mierząc się z sześcioma tematami: relacje, edukacja i praca, prawo, zdrowie, finanse, warunki życia. Ćwiczenia z finansów to udział w edukacyjnej grze planszowej typu Monopoly. Uczestnicy gry dostają symboliczne pieniądze i uczą się nimi dysponować: inwestują w rozwój, wydają na rachunki i przyjemności, odkładają. Ćwiczenia z pracy – to warsztaty edukacyjne: młodzi uczą się pisania CV, biorą udział w inscenizowanej rozmowie rekrutacyjnej, odpowiadają na prawdziwe ogłoszenia o pracę.

Jak sobie radzą podopieczni fundacji?

– Różnie. Zależy, o jakim obszarze życia mówimy – opowiada Leżeński. – Najgorzej jest z mieszkaniem. A drugi obszar, w którym jest im trudno, to zdrowie. To są często osoby po przejściach, nierzadko z dysfunkcjami: DDA (doroste dzieci alkoholików), FAS (płodowym zespołem alkoholowym), z nerwicami. Ich odporność na trudności życiowe jest dużo mniejsza niż przeciętnego nastolatka. Szybciej wpadają w kryzysy. Trzeci problem to edukacja. Nikt nie wyrobił w nich nawyku uczenia się, nie mają motywacji. Mają taki wgrany software, że i tak im się nie powiedzie.

Ale są i tacy, którzy pną się do góry. Doksztalcają się. Po czasie burzy i naporu nadrabiają zaległości. Leżeński zauważył, że robinsonowie najczęściej kończą szkoły cukiernicze, handlowe, hotelarskie. Często pracują w sklepach, w zawodach związanych ze służbą zdrowia i opieką.

– Mamy robinsonkę, która pracuje w laboratorium, robinsona, który jest pielęgniarzem w hospicjum i nadal się kształci. No i będziemy mieli swoich studentów.

Niedawno fundacja ruszyła z programem stypendialnym Dream Worker. Z chętnych, którzy zgłosili się do programu, komisja stypendialna wybrała sześciu przyszłych studentów o największym potencjale. Wśród nich jest twórca animacji komputerowej – marzący o studiach w Royal Academy of Art w Hadze, przyszła studentka japonistyki oraz przyszli studenci politechniki. Wszyscy dostaną wsparcie tutora i stypendium socjalne. Leżeński: – Fundacja podpisze z nimi umowę, że dokonają zwrotu społecznego. Po ukończeniu studiów we współpracy z nami wymyślą, co będą mogli zrobić pożytecznego dla idei wsparcia usamodzielniającej się młodzieży.

---

– Wynajmują wspólnie mieszkania, tułają się po znajomych. Są strasznie spragnieni miłości. Dziewczyny od razu znajdują chłopaka. Pojawia się ciąża. Wtedy start jest jeszcze trudniejszy. Często wchodzi w trudne, przemocowe związki. Kiedyś spytałam taką piękną, mądrą dziewczynę: „Dlaczego?”. A ona: „Kto inny by mnie chciał?”. No i boją się. Kozakują, ale się boją. Biorą kota albo psa, żeby im poprawił samopoczucie. – Barbara Nowacka wie, co mówi. Była opiekunką usamodzielnienia ponad dwadzieścioro wychowanków. Trzydzieści siedem lat pracowała w domu dziecka. Blondynka o pełnych kształtach i ciepłym, cierpliwym głosie. Lubi młodzież. Radziła sobie z największymi łobuzami.

Dziś na emeryturze, łączy siły z fundacjami Robinson Crusoe i Szczęśliwej Drogi. Ta ostatnia również wspiera młodych we wchodzeniu w dorosłość, ale stawia na bardziej indywidualną pracę.

Mimo ograniczonych (fundacje nie mogą pomóc wszystkim wychodzącym z pieczy), ale istniejących jednak możliwości wielu i tak wraca do domów. Tych, z których zostali zabrani jako dzieci. Tych, które państwo oceniło jako niewydolne. W 2017 roku na prawie sześć tysięcy młodych, którzy opuścili pieczę, 1173 wróciło do rodzin biologicznych.

Jedna z podopiecznych powiedziała Nowackiej, że za Chiny po osiemnastce w domu dziecka nie zostanie. Że jej wolność ograniczają. Chce wrócić do ojca. I wróciła. Do lekko upośledzonego alkoholika, który ją bił. Do zapyziałego domku na wsi. Dziewczyna jest w drugiej klasie szkoły zawodowej. W swojej wsi szans na pracę nie ma, a dojazd do miasta ma utrudniony.

---

– Często są skazani na szkoły zaoczne. 526 złotych, które dostają na kontynuację nauki, to minimalna pomoc – uważa Nowacka. Pamięta takich, którzy uczyli się dziennie. Dorabiali nocami w Carrefourze. Potem spali na lekcjach. Rzucali szkołę, szli do zaocznej. Często wybierali Centrum Kształcenia Ustawicznego (CKU). W ciągu ostatnich czternastu lat żaden z jej wychowanków po CKU matury nie zrobił. Z dorabianiem też jest problem. Możliwości są w dużych miastach.

– Bezmyślnie się usamodzielniają. Nie planują. Nie mają pieniędzy. Przez pierwsze półtora roku balują. Upijają się wolnością – ciągnie swą opowieść Nowacka. Większość się otrząsa. Jedna praca, druga. Tyle że w pracy są oszukiwani. Nie są przyzwyczajeni, że trzeba

wszystkiego dopilnować. Zawalczyć o umowę. A też nie zawsze chcą. Jeśli liczą na lokale socjalne, oficjalnie ich zarobki nie mogą przekroczyć pewnej kwoty. Na przykład na Białogłęce jest to około tysiąca trzystu złotych na osobę.

No właśnie, mieszkania. W Warszawie jest osiemnaście mieszkań usamodzielnienia dla wychowanków pieczy. Z czynszem około trzystu złotych. Młodzi mogą w nich być do roku. Nie są nadzorowani. W innych dużych miastach funkcjonują mieszkania chronione. Mieszkańcy są tam pod nadzorem i opieką pracownika socjalnego, płacą symboliczne opłaty. W bezpiecznych warunkach stopniowo przymierzają się do dorosłości. Tyle że mieszkań chronionych jest za mało – stworzono je jedynie w stu osiemdziesięciu trzech z trzystu osiemdziesięciu powiatów (w tym miast na prawach powiatu) w Polsce. Na przykład: w powiecie zamojskim – trzy, w gorzowskim – cztery, w będzińskim – dwa, w olkuskim – dwa, w wadowickim – jedno, w kędzierzyńsko-kozielskim – najwięcej, czterdzieści osiem. Lepiej sytuacja wygląda w miastach: w Krakowie – dwadzieścia dwa, w Szczecinie – szesnaście, w Płocku – dwadzieścia osiem, w Kielcach – siedemnaście, w Poznaniu – trzynaście. Z tym że podane liczby oznaczają ogólną liczbę mieszkań chronionych. Może to oznaczać, że w powiecie są zatem mieszkania wyłącznie dla osób z niepełnosprawnościami. A dla wychowanków pieczy nie ma ani jednego.

Mieszkań chronionych praktycznie nie ma w małych miastach i wsiach. Choć zdarzają się wyjątki. W liczącym stu czterdziestu mieszkańców Małachowie w województwie świętokrzyskim, w wyremontowanym za pieniądze unijne budynku powstało mieszkanie chronione przy domu dziecka. Chętnych nie ma. Na sześć miejsc zajęte dwa. Wieś znajduje się na uboczu. Praca i szkoła jest w mieście.

Zdarza się, że mieszkań chronionych dla usamodzielniających się wychowanków nie ma nawet w dużym mieście. Dyrektorka MOPS-u w Katowicach napisała mi w e-mailu: „Na terenie miasta Katowice nie funkcjonuje mieszkanie chronione, natomiast funkcjonuje: schronisko dla bezdomnych kobiet i kobiet z dziećmi oraz schronisko dla bezdomnych mężczyzn”.

Na mieszkania socjalne szansę mają ci z dużych miast. Najwyższa Izba Kontroli w raporcie z 2015 roku podaje, że czas oczekiwania, w zależności do gminy, wynosi od kilku miesięcy do kilkunastu lat. Na przykład w Płocku na lokal komunalny wychowankowie czekają do dziewięciu lat, w Ciechanowie dziewięć lat i więcej.



Miała fart. Powtarza to trzy razy. Niewysoka, drobna, włosy spięte w kucyk, zero makijażu, biżuterii. Płaskie buty, dzinsy. Spotykamy się w kawiarni. Siadamy przy małym, okrągłym stoliku. Ktoś przygrywa na pianinie. Lidka nie może się zdecydować, jaką kawę wybrać.

– Zawsze tak mam – tłumaczy.

Ma dwadzieścia siedem lat, maturę, pracę w żłobku, mieszkanie komunalne i dojrzałe spojrzenie na przeszłość.

Za sobą osiem lat w domu dziecka i terapię. Wychowawców nie będzie obwiniać. Chociaż nie wychodzili ponad pracę „od tej do tej”. Rozumie, że kiedy dzieciak wychodzi z domu dziecka, na jego miejsce przychodzi nowy. I masa nowych problemów.



Swoje przeszła. Falę, jak w wojsku. Wykorzystywanie małego dzieciaka przez starszych: przynieś, sprzątnij, pozamiataj. Szyderstwa i poniżanie – głównie ze strony kolegów. Choć był też wychowawca, który potrafił wziąć masło i usmarować dzieciakowi twarz.

Ale miała szczęście. Jej opiekunem usamodzielnienia była dyrektorka, na którą mogła liczyć. Mądra, wyrozumiała. Nie odwróciła się, gdy dziewczyna ją raniła, sprawiała problemy. Kontakt mają do dziś. Poza tym Lidka była oszczędna i poukładana. Gdy opuściła dom dziecka, najpierw płaciła rachunki, potem resztę.

Uczyła się na kursach masażu, pracowała na pół etatu w domu dziecka, który opuściła jako wychowanka. Starła się nie popełniać błędów starszych braci, którzy zadłużyli mieszkanie chronione. Brali kredyty, telewizor na raty, mieli mandaty za jazdę na gapę.

– Wychodziliśmy z domu dziecka i było: „Aha, trzeba mieć pieniądze na rachunki, na telefon, na imprezę. Aha. Ale skąd?”. Wielu nie myślało, że jak wydadzą dwieście złotych na imprezę, to nie będzie na życie. Prawda jest taka, że nikt nie przygarnie, nie pożyczy, nie przenocuje. No tak. Mnie by dyrektorka pożyczyła. Ale inni nie mieli tyle szczęścia.

Angielski, zajęcia teatralne, warsztaty z rozmów kwalifikacyjnych, poznawanie mocnych stron. Lidka pamięta różne kursy. Ale nikt im nie powiedział prawdy o życiu.

Jaka jest ta prawda?

– Że jesteśmy zdani sami na siebie. Że będziemy się mierzyć z przyszłością i przeszłością. A przeszłość będzie wracać. Trauma związana z tym, że rodzice zawiedli. Z tym, co się działo w domu dziecka. Mnie nikt nie dowartościowywał. Nie powiedział, że jestem ważna. Ważna była szkoła i sprzątanie. No super, szkołę skończyłam. Ale nikt nie powiedział, że za dziesięć lat trzeba będzie poskładać swoje życie. A człowiek jest strasznie niepoukładany. Ma żal do siebie. Rodziny. Wychowawców. Życie w domu dziecka przynosi dużo cierpienia.

Gdy pracowała, obserwowała wychowanki, które odchodziły. Nie chciały zostać. Dlaczego? – Trzeba być o określonej porze. Można od wychowawcy usłyszeć o swojej matce, że zła, bo alkoholiczka. Dzieci to wiedzą. Nie chcą słuchać.



Domy dziecka demoralizują. Barbara Nowacka kiedyś się oburzała na takie stwierdzenie.

Dziś się z nim zgadza. Placówki widzi tak: dzieci mają wszystko pod nosem. Nie rozumieją, że na swoje potrzeby trzeba zapracować, odłożyć. Nic od nich nie zależy. Nikt nie bierze pod uwagę ich zdania. Pilnuje się regulaminu, porządku i lekcji. A dzieciak gwoźdźnia sam nie wbije. Nie umie gospodarować pieniędzmi. Nie jest tak, że się tego nie uczy. Ale co innego mówić, a co innego doświadczyć. Są kuchnie, grupy usamodzielnienia – a potem i tak do domu dziecka przyjeżdża catering.

Nie mają dobrych wzorców. W ciągu dnia są w placówce, a na weekend wracają do domu. I widzą: rodzic bierze pieniądze z pomocy społecznej. W przyszłości wezmą z mamy czy taty przykład.

Ten wzorzec trudno zmienić. Nowacka podaje przykład: podopieczną, która ma męża i trójkę dzieci. Mąż zarabia. Radzą sobie. Ale Nowacka odkryła, że dzieciom do obiadów dopłaca

pomoc społeczna. Rodzina jest pod opieką asystenta. Powiedziała niedawno podopiecznej:  
– Beata, pomożemy ci. Ale jak będziesz sięgać po pomoc do OPS-u, to ci chyba rękę obetnę.

Według raportu NIK z 2015 roku czternaście procent osób przerwało proces usamodzielnienia, dwadzieścia trzy procent korzystało ze świadczeń pomocy społecznej, trzydzieści jeden procent było bezrobotnych.

Nowacką najbardziej boli, że system nie zauważa młodzieży z niepełnosprawnością intelektualną (ośrodek statystyczny nie dysponuje danymi na temat ich liczby, nie ma też żadnego programu skierowanego specjalnie do nich; najczęściej lądują w domach pomocy społecznej). To grupa, która sobie nie radzi. Którą nieustannie trzeba nadzorować. Fundacja Szczęśliwej Drogi i Nowacka mają takich młodych pod opieką. Ciągłe coś muszą odkręcać. Jeden przyniósł żonie garnki za siedem tysięcy złotych. Kazali odebrać. Innego namówiono na kurs angielskiego. Wziął kredyt. Interweniowali. Kolejnemu załatwili umorzenie długów w Miejskim Zakładzie Komunikacji.

A gdyby nie trafili do fundacji?

– To by zginęli.

System jest, mówi Nowacka, do poprawki.

– Ale żeby nie było, że tylko narzekamy. Są oddani wychowawcy, fundacje. Osoby, które chcą tej młodzieży pomóc. To są świetne dzieciaki. Czasem wystarczy tylko pchnąć, zmotywować. Jak pani myśli, czy jest szansa, że ten artykuł przeczyta ktoś z polityków?

---

– Mają tu wszystko. Lepiej niż w niejednym domu. Tyle że nie mają miłości. My nikogo nie możemy faworyzować. I nic się nie da z tym zrobić – powiedział mi wychowawca z placówki na warszawskiej Pradze.

Z pytaniem „Dlaczego się nie da?” idę do siedziby Koalicji na Rzecz Rodzinnej Opieki Zastępczej. Joanna Luberadзка-Gruca pieczę zastępczą obserwuje, bada i analizuje od piętnastu lat.

Opowiada mi o ślubach. O przygotowaniach, przyjęciach, białych sukniach. Śluby celebrowano w rodzinnym domu dziecka. Matka zastępcza wychowała trzydzieścioro troje dzieci, dwadzieścioro sześcioro usamodzielnia. W ciągu trzech lat wydała za mąż pięć córek. Towarzyszyła im we wszystkich ważnych momentach życia. Stała za nimi, gdy miały trudności. Gdy się zakochiwały, stawały dorosłe. Tak jak w zwyczajnej rodzinie.

– Nie jest tak, że ludzie w placówkach są źli. Że mają złe intencje. Z samej natury instytucji pewnych rzeczy się nie da zrobić. W pieczy instytucjonalnej dzieci, które się dobrze usamodzielniały, zawdzięczają to często komuś, kto im pomógł. Na przykład wychowawcy. Ale nie zawsze jest to dobrze widziane. Czasem się tego zabrania. Jeśli wychowawca nawiąże bliską relację z dzieckiem, rodzi się pytanie, co z pozostałymi. On dziś pracuje tu, jutro gdzie indziej. W pieczy rodzinnej przygotowanie do życia odbywa się w sposób naturalny. Tworzy się więź zbliżona do tej, jaka jest w rodzinie biologicznej.

My – jako państwo – powinniśmy myśleć jak matka zastępcza. Jej największą dumą jest to, że jej dzieci nie korzystają z pomocy społecznej. Potrafią się utrzymać, płacą podatki. Zakładają zdrowe rodziny. Dla niej to dowód, że to, co robi, ma sens.

Młodzi dorośli coraz częściej zostają w pieczy rodzinnej (w 2016 roku to aż osiemdziesiąt cztery procent młodzieży zostającej w pieczy). Czasem też do niej wracają.

Ilona wychowała się w rodzinnym domu dziecka w województwie lubelskim. Usamodzieliła się. Po roku zaszła w ciążę, zostawił ją chłopak. Zadzwoiła do matki zastępczej, że nie ma co ze sobą zrobić. „Przyjeżdżaj” – usłyszała. Budynek, w którym mieszkali, należał do powiatu. Matka musiała ponosić koszty za przybraną córkę. Do instytucji Ilona wrócić by nie mogła. Choćby byli tam najzyczliwsi wychowawcy.

– W sejmie trwają prace nad nowelizacją ustawy o wspieraniu rodziny i systemie pieczy zastępczej. A w jej ramach nad ideą usamodzielnień na próbę. Tylko jej zapis jest skomplikowany, obwarowany wieloma warunkami. Pojawia się pytanie, kto miałby to dziecko utrzymywać. W rodzinie to prostsze – mówi Luberadzka-Gruca.

Na pieczę zastępczą i wspieranie usamodzielniających się wychowanków wydajemy pieniądze państwowe i unijne. Sam tylko pobyt dziecka w placówce kosztował w 2017 roku ponad cztery tysiące sześćset złotych miesięcznie. Do tego dochodzą koszty programów, szkoleń, warsztatów skierowanych do usamodzielniających się wychowanków, prowadzonych przez PCPR-y, urzędy pracy, fundacje. Zdaniem Joanny Luberadzkiej-Gruca brakuje jednak długofalowego planowania. Myślenia, na ile te wydatki są efektywne. – Tak jakbyśmy mówili: „Zróbmy coś, niech dziecko skończy jakąś szkołę”. Jeśli jest z dużego miasta, przy odrobinie szczęścia dostanie od gminy mieszkanie. Ale czy ten człowiek jest samodzielny? Moim zdaniem nikogo to nie interesuje. Nie badamy losów wychowanków. Nie sprawdzamy, co działa, a co nie.



Kuba ma ponad dwa metry wzrostu i w swoim mikroskopijnym mieszkaniu wydaje się jeszcze wyższy. Mieszkanie mieści się w nowym, czteropiętrowym bloku w Warszawie. Wszystko oprócz właściciela jest tu nieduże, meblościanka z IKEI, jasna szafa, rudy Sproket, który biega po sofie i co chwila dopomina się pieszczot. Sproketa kupiła Anita – narzeczona – żeby Kuba nauczył się odpowiedzialności. Zawdzięcza jej nie tylko psa. Również to, że skończył zawodówkę, a nie skończył jako uzależniony od komputera. Anita przysłuchuje się rozmowie. Czasem podrzuci Kubie jakieś słowo albo coś sprostuje.

Kuba niedawno skończył dwadzieścia lat. Ma bujną czuprynę, która kontrastuje z turkusową koszulką polo. Dużo się uśmiecha. Opowiada chętnie i szczegółowo.

– Pracę mam gadatliwą, więc nie ma problemu. Jestem doradcą klienta w sklepie z RTV i AGD.

Kiedy miał mniej niż dziesięć lat, razem z trzema braćmi trafił do pieczy zastępczej i przetestował różne jej rodzaje. Najpierw było pogotowie opiekuńcze, potem dom dziecka, rodzinny dom dziecka i znów powrót do placówki.

Zaczął się od rozstania rodziców. Ojciec zostawił rodzinę. Wtedy matka przestała dbać o dzieci. – Zanieczywialiśmy szkołę, hasaliśmy po okolicy, na jedzenie chodziliśmy do babci albo podbieraliśmy sąsiadowi ziemniaki z pola – opowiada. Czasem musieliśmy się sobą zaopiekować, choć nie myślę, że to nam wyszło na złe. Jako bracia byliśmy zgraną gromadą.

Kuba ma porównanie. Woli instytucjonalny dom dziecka. Ośmiu lat spędzonych w rodzinnym domu dziecka nie wspomina najlepiej. Zwłaszcza wydzielenia jedzenia. Gdy bracia chcieli dojeść po szkolnym obiedzie, mogli wziąć tylko chleb z marmoladą. – Jak czegoś chcieliśmy, opiekunowie mówili: „Państwo nie daje pieniędzy”. Po pewnym czasie tak się odcieśli, że mieli oddzielną lodówkę, jadalni też oddzielnie. Inaczej traktowali nas, a inaczej swoje dzieci biologiczne. Jak zniknęły pieniądze, było na nas. Ona przez większą część dnia siedziała przy komputerze i wołała: „Kuba, wyłącz zupe, potwora zabijam”.

Bracia stwierdzili, że mają dość. Poskarżyli się pracownicy WCPR-u. Wrócili do domu dziecka. Tam, twierdzi, było lepiej.



– Można było zejść do kucharek, dogadać się z babeczkami i dostać kanapki. Jak kulałem z angielskiego, to wychowawca stawał na głowie, żeby mi pomóc. Codziennie woził mnie do studentki, która mnie uczyła. Gościu nas lubił, to się czuło. Wiadomo, że każdy wychowawca może mieć swojego ulubieńca. Przychodzili do nas fryzjerzy i obcinali, jak trzeba. Robili wzorki i wszystko. Jak od konkretnego stylisty. A tamta jak kupiła maszynkę, to chodziłem do szkoły obcięty na garnek. No i w domu dziecka była Nutella! A w tym rodzinnym domu? Gdzie tam Nutellę bym zobaczył!

Kuba uważa, że piecza zastępcza to nie tragedia. Nie jest tak, że dzieci w domach dziecka mają ciężko. Mają raczej dużo możliwości. – Ja mam mnóstwo kursów zrobionych, kursy językowe, kursy pewności siebie. Tylko młoda osoba jest opozycyjna i ma swój punkt widzenia. Chce na przykład zostać gwiazdą rocka. Ciężko do takiej podejść. Gdybym mógł cofnąć czas, korzystałbym więcej. Jeździłbym na narty, zrobiłbym prawo jazdy, patent żeglarski. Mój brat za dobrą naukę dostał iPhone’a za cztery tysiące. Niestety, wszystkie rzeczy, które się przydają w życiu, są nudne. Jak odrabianie lekcji, napisanie pracy konkursowej.

Gdy zamieszkał w mieszkaniu chronionym, pomyślał: „No, nikt mnie do niczego nie zmusi”. Miało to swoje konsekwencje: zawalenie technikum, zaniechanie mieszkania, granie nocami na komputerze. Gdy drugi raz nie zdał w technikum, zapisał się do zawodówki. Ale też nie chodził.

– To jest ten problem, że jak się nie ma wsparcia, to nie wiadomo, co i jak robić. Skończyłem zawodówkę za sprawą tej pani – wskazuje na Anitę. – Moja narzeczona potrafiła obudzić mnie dudnieniem do drzwi.

Do pionu postawiła go też opiekunka usamodzielnienia. Wezwała na rozmowę i oznajmiła, że jeśli nie zacznie chodzić do szkoły, straci pieniądze na kontynuowanie nauki i mieszkanie chronione. W końcu zadziało.

Dużo fajnych osób spotkał, przyznaje. Wolontariusze z Fundacji Świat Ludzkich Spraw pomogli mu napisać CV, przygotowali do rozmów kwalifikacyjnych, załatwili pracę w firmie konsultingowej, pomogli w wyposażeniu mieszkania. Mieszkanie komunalne też pomogła załatwić opiekunka usamodzielnienia.

Dziś Kuba uczy się w liceum zaocznym. Planuje za rok zdawać maturę. Znajomi mówią, żeby się trzymał Anity. Zamierza ich słuchać.

Dziwi go stereotyp dotyczący domu dziecka. Gdy ktoś mówi: „Szkoda mi tych dzieciaków”, Kuba myśli: „Te dzieci mają lepiej niż ty”.



Miłosz przymierza białą koszulę. Ma za krótkie rękawy, ale ujdzie. Przyda się dziś w pracy. Wziął ją z wieszaka, który stoi na korytarzu. Wiszą na nim bluzki, marynarki, kurtki. Każdy podopieczny Fundacji Po Drugie może z niego wybrać to, czego potrzebuje. Na ścianie po lewej wisi korkowa tablica. Wielki napis na żółtej kartce: „Gdzie szukać wsparcia”. I adresy: jadłodajni, schronisk, noclegowni, pomocy medycznej. Miejsc, gdzie można dostać odzież i wykąpać się.

Z kuchni dolatuje zapach pieczonego kurczaka.

Agnieszka Sikora biega po korytarzu z telefonem. Nie wyłącza go nigdy. Dzwonią w nocy: „Pani Ago, skończył się papier toaletowy!”. W sobotę o siedemnastej: „Pani Ago, nudzę się!”. Młodzi z mieszkań treningowych potrzebują kontaktu z szefową fundacji.

– Przychodzą z jedną reklamówką. Albo i bez. Niektórzy śmierdzą. Pierwsza rzecz – musimy ich nakarmić i otworzyć okno – opowiada. – Trafiają do nas z ulicy, wysłani przez OPS-y, punkty poradnictwa, placówki, kolegów.

Po ośmiu latach pracy w fundacji widzi, że są dzieci uprzywilejowane i nieuprzywilejowane. Grzeczniejsze, ambitniejsze zostają po osiągnięciu pełnoletniości w placówkach. Uczą się. Dostają wsparcie. Do fundacji trafiają te nieuprzywilejowane.

– Mam przykład. Chłopiec nie był święty. Parę razy wrócił do placówki pod wpływem alkoholu. Może jointa zapalił. Ale przepraszam, w normalnych rodzinach nastolatek nigdy nie wraca pod wpływem alkoholu? Rodzice go wyrzucają? Wiem, to kwestia odpowiedzialności za pozostałe dzieci, ale dochodzi do przegięcia. Mamy w Polsce młodych ludzi, którzy zostali wystawieni z placówek za drzwi prosto na ulicę. I pies z kulawą nogą się nimi nie zainteresował.

Młodzi słyszą: „Masz osiemnaście lat. Jesteś dorosły. Nie chciałbyś iść na swoje?”. Albo sami mówią: „Mam w dupie, nie chcę tam być”.

Sikora co roku sobie obiecuje, że będzie interweniować. W każdym przypadku, gdy wychowanek będzie skreślany z placówki mimo kontynuowania nauki.

Fundacja prowadzi trzy mieszkania treningowe (mają mniej więcej te same cele co mieszkania chronione). Młody człowiek, który w nich mieszka, musi spełniać kilka warunków: być trzeźwy, kontaktować się z fundacją, uczyć się lub pracować.

Jest jednak grupa, która nie jest w stanie sprostać tym wymaganiom. Uzależnieni, zaburzeni psychicznie. Nie ma dla nich rozwiązań. To kolejna dziura w systemie, w którą wpadają najbardziej poturbowani przez życie.

Agnieszka Sikorę martwi wysoko podniesiona poprzeczka. Miejsc w mieszkaniu jest mało, więc wymóg trzeźwości – konieczny. Ale z tego powodu niektórzy młodzi z niego wypadają. Jest przekonana, że gdyby dać młodym więcej czasu, efekty byłyby lepsze. Podaje przykład: Eryk miał trzy podejścia. Pierwszy raz się napił, drugi zaćpał, trzeci coś zawałił. Przyszedł do fundacji po raz czwarty. Powiedziała: „Stary, ostatni raz!”.

Na razie jest dobrze. Ale Eryk jest uzależniony. Jaka jest gwarancja, że znów się nie upije?

Są tacy, którzy musieli odejść i nie wracają. Sikora ma nadzieję, że jeśli nawet trafili do fundacji na krótko, zapamiętają dobre doświadczenie. Że byli trzeźwi, pracowali, nie byli głodni. Że ktoś z nimi porozmawiał. Nie skreślił od razu. Może kiedyś do tego doświadczenia sięgną.

I dodaje: – Młodzi po placówkach nie są przygotowani do dorosłego życia. Instytucja nie jest miejscem, które uczy życia poza instytucją. Instytucja adaptuje do życia w instytucji.

--